DLA MŁODSZYCH.

Dodatek do Miesięcznika Galic. Tow. ochr. zwierząt Nr. 11. i 12. z r. 1911

Olga Bilińska.

W noc zimową...

W najsmutniejszą noc zimową
Kiedy śnieg tak dziwnie prószy,
Nocą cichą, brylantową,
Troska wchodzi w chram mej duszy.
Bo w pokoju ciepło cudne
Lekką falą ciało miota;
Wywołuje wizje złudne —
Że słoneczna to pieszczota.
Na kominku ogień płonie,
Lampa pali się wesoło
Rzuca refleks na me skronie,
Żarem światła siejąc w koło.
A na szybie mróz tęczowy
Pełen tonów, linij wiotkich,
Wciąż rysuje opalowe
Arabeski — bajki słodkie.

— — — — — — — —

Lecz za oknem baśń się dzwoni:
Gasnie jasność i marzenie,
Bo śnieg biały wszystko chroni,
Pod stalowe swoje tchnienie.
Życie znikło; wszędzie smutno;
Drzewa drzemią ośnieżone,
Opowite w białe płótno,
W gwiazd różaniec zapatrzone.
Czasem jeno, sarna miła
Wyjdzie z lasu jak tęsknota;
Patrzy jakby się modliła
W niebo — o promyczek złota.
Pod krzak suchy znów się tuli,
Dwóch zajączków parka mała;

One — są już bez matuli,
Która ich swem ciepłem grzała.
Dwie sierotki te samotne,
Pyszczki do się przytuliły;
Bo niedobre kule lotne,
Je z mateńką rozłączyły.
A ptaszęta rozśpiewane
W czasie, który słońce kocha,
Teraz — lecą zadumane,
Szukające ziaren trocha.
— — — — — — — —
— — — — — — — —
Pamiętajmyż w noc zimową
O skrzydlatej owej rzeszy!
Niech i ona w brylantową
Noc, się także trochę cieszy.
Pamiętajmyż w noc zimową
O tych Bożych wszystkich tworach,
Niech i one z wiosną nową,
Po słonecznych mkną ugorach.

Marceli Prevost.

O Tomie przemytniku.

(Przeł A. Ż.)

Wyjątek ze „Słowa polskiego".*)

. . . .
. . . .

Gdy to mówił, z drugiej izby jęk się wyrwał długi, przenikający.

Michel Dewachter pobiegł tam natychmiast. Widziałem, przez otwarte drzwi, że schylał się nad łóżkiem i szeptał coś niezrozumiałego dla mnie, po flamandzku. Powrócił do mnie z wilgotnemi oczami.

*) Na pograniczu flamandzkiem kwitnie przemytnictwo koronek, zapałek i tytoniu belgijskiego do Francji, przyczem wielką usługę oddają przemytnikom wierne psy. Śliczny obrazek takiej ofiarnej a męczeńskiej posługi biednego psiska dla rodziny przemytników z drugiej zaś strony obrazek wdzięczności ludzkiej dla niemego, a oddanego stworzenia, kreśli autor w powyższym opisie, którego wyjątek podajemy do wiadomości naszych czytelników.

— Czy tam leży chory? — zapytałem.

Wstrząsnął głową: Tam kończy Tom. — A widząc, że nie rozumiem go, dodał: — Tom, to mój pies, zabity przez straż pograniczną. Pokazać panu?

Zgodziłem się. Udałem się za nim do alkierza, gdzie leżał wyciągnięty, jak człowiek, duży, czarny pies, pochodzący, choć nie w prostej linji, od charta. Prawe ucho miał krwią zbroczone, jedna łapka, jakby ucięta, była owinięta płótnem, przez które przeciekała krew. Dyszał niezwykle szybko, z przymkniętemi oczyma.

Do psa zbliżył się Michel Dewachter, ucałował biedny pysk i zemstę poprzysięgał zabójcom.

Powróciliśmy do pierwszej izby. Mój gospodarz wydobył z kredensu dzban cynowy i dwie szklanki, które napełnił ciemnem piwem.

— Mynheer, może napijemy się, zanim Gudula nadejdzie? — i wskazał mi krzesło. — Czy pan zje co? Mam chleb i masło, nic więcej.

— Dziękuję. Napiję się z przyjemnością, lecz głodny nie jestem.

— A zapali pan? Proszę tę fajkę i tytoń, który strażnicy skonfiskowaliby chętnie.

Zapaliliśmy fajki i zasiedliśmy za stołem, a przed nami szklanki z piwem. Dewachter siedział milcząco wsłuchany w odgłosy z drugiego pokoju, skąd dochodził jęk biednego Toma. Gospodarz przemówił nareszcie: — Panie, czy pan uwierzy, ten pies powrócił tu z Dunkierki, gdzie go musieli schwytać, powrócił tu sam, z uciętą łapą i grubym śrutem w uchu! Hyngot! Ci niegodziwi rozbójnicy! Tak postąpić z biednem stworzeniem!

Napił się więcej piwa i stał się wylanym w swym żalu.

— Panie. ten pies pracował od pięciu lat razem z nami. Ponieważ pan nie jesteś wstrętnym celnikiem, mogę panu wyznać, czem się tu trudnimy: przewozimy koronki, zapałki i tytoń belgijski do Francji. Dziewczyna, której powrotu oczekuję, przenosi właśnie tytoń. Rzemiosło takie, jak każde inne, tylko za ciężkie.

— A jak Tom wam pomagał, czy wysyłacie psy na zwiady?

— Poznać odrazu, że pan nie tutejszy, odpowiedział Michel Dewachter. Takie psy, jak Tom uczy się od małego szczeniaka chodzić między dwoma miejscowościami, po tej i po tamtej stronie granicy. Następnie przyzwyczaja się je do uciekania przed strażnikami. W tym celu ubieram się w mundur tych darmozjadów i biję psa. Ilekroć włożę to ubranie, tyle razy dostaje porządne razy. Potem już, gdy tylko dojrzy z daleka zielone spodnie, zmyka co tchu.

— Czy psy przenoszą tytoń?

— I tytoń, i cienkie płótno holenderskie i co się tylko da. Te bestje strażnicy mają swoje psy, ułożone do ścigania naszych, ale Tom miał dobre nogi i nie bał się nikogo. Lecz ołów biegnie prędzej niż najlepszy pies, prawda?

Przerwał mu cięższy jęk. Michel zerwał się gwałtownie, zajrzał do kończącego zwierzęcia i odezwał się szeptem:

— Już niewiele się biedakowi należy.

— Ale, zapytałem, dlaczego celnicy obcinają tak okrutnie łapy psu.

— Wie pan. to dla otrzymania nagrody. Znalezioną przy psie kontrabandę przesyłają centralnej władzy celnej we Francji, a do protokołu dołączają psią łapę i za to dostają sporo pieniędzy, dwadzieścia pięć do trzydziestu franków. Widocznie było im w tym razie bardzo pilno, lub też sądzili, że pies już nie żyje. Jakkolwiek tam było, Tom powrócił dziś rano na trzech nogach.

W sieni rozległo się stąpanie.

— To Gudula powraca — mówi Dewachter.

Istotnie to była ona. Ujrzałem wysoką blondynkę, nieokreślonego wieku, która spojrzała na mnie z nieufnością i rozpoczęła z ojcem rozmowę po flamandzku. Obydwoje odeszli do Toma. Posłyszałem szlocnanie Guduli; a łzy kobiece mają mają moc, że ja sam doznałem wzruszenia z powodu śmierci psa.

Gudula weszła, ocierając oczy, a za nią wsunął się Michel ze słowami:

— Proszę pana za mną. Zaprowadzę pana do Forduyct, a tam poszukamy koni do Dunkierki.

Wyruszyliśmy chodnikiem, biegnącym wśród diun, skąd niebawem dostaliśmy się na gościniec i do wsi. Idąc za milczącym przewodnikiem rozmyślałem o przygodzie zwierzęcia,

którego jęki dotąd brzmiały mi w uszach, widziałem go leżącego na łóżku, jak człowieka, otoczonego stroskaną rodziną. Przedemną przesunęło się całe życie Toma. Wyobraziłem go sobie jako nowonarodzone szczenię, drżące i ślepe, niby zwitek żółtej sierści, przyczepiony do piersi matki; później jako zwinnego i płochliwego psotnika; następnie zwierzę dorosłe, ułożone batem do uciekania przed strażą z ładunkiem tytoniu, przytwierdzonym do grzbietu. Wyobraziłem sobie ścigania, wędrówki w trwodze po przez diuny, spotkania z psami przeciwnego obozu, z psami utrzymywanymi przez państwo. Cała odysseja niebezpieczeństw, starć, wybiegów wojennych składa się na życie psa-przemytnika aż do dnia, kiedy ogłuszony dwoma strzałami, dał się obrabować i okaleczyć; aż do tego ostatniego etapu, do okropnego powrotu pod dach pana na wpół martwo, znacząc swą drogę krwawymi śladami.

Rozmyślałem o tajemniczej duszy zwierzęcia, zdolnej przejmować nasze wstręty, naszą ofiarność, odwagę i chytrość, zdolnej walczyć i cierpieć z nami, bez korzyści dla siebie — wyłącznie dla nas!

Obserwator.

Godne pochwały.

Członkowie »Kółka przyrodniczego młodzieży szkolnej« filji gimnazjum VII we Lwowie, dali kolegom swym z innych zakładów sympatyczny przykład humanitarnego czynu. Zakład mieści się jak wiadomo w zabudowaniu OO. Bernardynów, przypiera do klasztornego ogrodu i rozporządza rozległem podwórzem. Tam to tuli się wśród zimowych miesięcy ptactwo, tam to gwarzą wróbelki o upragnionych wiosny promieniach. Uczniowie, zwłaszcza klas niższych, zwykli przynosić z sobą z domu posiłek t.z. drugie śniadanie, którego okruchy wędrowały do kanału. Ocalić i użyć te okruchy na rzecz zgłodniałego, zbiedzonego w śród zimowych miesięcy ptactwa, oto piękna myśl młodzieży o postępowych poglądach i zapatrywaniach. Udali się więc do dyrekcji, uzyskali pozwolenie, umieścili w podwórzu własnym kosztem żerowisko, a dziś wdzięczne ptactwo korzysta w pełni z ludzkiej roztropności.

Na wypadek gdyby zabrakło okruchów śniadaniowych złożyli uczniowie drobny fundusik na zakupno ziarna. Wyde-

legowano z swego grona starszych kolegów, którzy są powołani do nadzorowania żerowiska.

W ten sposób poświęca młodzież zbożnemu dziełu myśli i uwagę po za granicami swych obowiązków szkolnych. Oby tylko jak najwięcej znalazla na tem polu naśladowców!

Rozmaitości.

Pszczoły jako broń. Pszczelnictwo, stojące dotychczas na słabym stopniu rozwoju na Kaukazie, cieszy się jednak wśród mieszkańców tamtejszych specjalnem poszanowaniem. Powodem tego jest pamięć ubiegłych czasów, kiedy pszczoły służyły za broń. I dziś jeszcze czasami górale kaukascy posługują się tą bronią. Przed kilku laty w górach kaukazkich grasowała banda rozbójników, która prześladowała mieszkańców wsi i miasteczek. Wysłany przeciwko nim oddział kozaków, odnalazł w jakimś wąwozie kryjówkę bandy. Kozacy natychmiast osaczyli bandytów, wzywając do poddania. W odpowiedzi herszt rzucił wśród kozaków kilka koszyków, zawierających roje pszczół. Kozacy zmuszeni byli cofnąć się przed nielitościwie gryzącym przeciwnikiem, a bandyci tymczasem umknęli z wąwozu i gdzieindziej się ukryli. Mieszkańcy Kaukazu powiadają, że w zeszłem stuleciu podczas walk rosyjskich wojsk z plemionami kaukaskiemi, podobnej broni używano nieraz — była ona straszną w rękach przeciwników.

Psy w wojsku. Rząd belgijski użył psów jako siły pociągowej do karabinów maszynowych w pułkach piechoty. Próby w kilku pułkach miały wypaść tak pomyślnie, że postanowiono zaprowadzić psy we wszystkich pułkach piechoty belgijskiej.

O użyciu znękanych na bruku miejskim koni w gospodarstwie rolnem. W większych miastach wiele bardzo dobrych koni używanych bywa przez większych przedsiębiorców i przemysłowców do różnych posług w zaprzęgu. Konie te skazane są na ustawiczne kłusowanie po twardym bruku, przez co zużywają prędko nogi i jako takie w młodym jeszcze wieku sprzedawane bywają doróżkarzom, skąd zwyczajnie w bardzo krótkim czasie dostają się do rąk t. zw. drążkarzy, a wreszcie giną u oprawcy.

Gdy się zważy, że między t ńmi znajdują się sztuki przeważnie bardzo dobrze zbudowane, a nawet rasowe klacze które w młodym wieku użyte, szybko na nogi niedomają, a w następstwie męczą się bardzo, więc są do tego użytku niezdatne, a natomiast w gospodarstwie do pracy w roli mogłyby być jako konie fornalskie, a niektóre klacze jako matki, bardzo użyteczne.

Doświadczoną bowiem rzeczą jest, że konie, które poniszczyły nogi wskutek szybkiej jazdy po twardych drogach, oddane do pracy na roli szybko przychodzą do siebie i wkrótce pewniejsze są w nogach.

Nieraz w gospodarstwach folwarcznych kupuje się dość drogie konie na targach, które później do pracy są za wątłe, płochliwe, narowiste, jednem słowem mało użyteczne, czego przy kupnie konia dobrego z bruku stosunkowo młodego można uniknąć. Niemcy w tym kierunku, jak we wszystkiem — już nas wyprzedzili. Tam rolnicy zaopatrują się w tego rodzaju konie u firm sprzedażą taką się trudniących. I tak firma berlińska „Verkaufsvereinigung für Pflastermüde Pferde"' sprzedaje konie lżejsze po 250 Mk., konie cięższe po 300—500 Mk., konie ciężkie od 400—600 Mk., które rolnicy niemieccy chętnie nabywają, jako dobry materyał roboczy, a nawet hodowlany. — Naturalnie, że w naszych warunkach, ani tego rodzaju konie, ani cena nie byłyby odpowiednie, ale gdyby jakieś uczciwe towarzystwa handlowe miejskie ujęły handel takich koni w swe ręce, to mogłoby to być z korzyścią dla naszego rolnictwa.

Gołębie jako niszczyciele gąsienic. Mało na ogół znanem jest, że i gołębie przez tępienie gąsienic w lesie wcale znaczne przynoszą korzyści: Fiszer w Forst- undJagd-Ztg." podaje, że przy badaniu zawartości wola młodego („Columba Palumbus") przekonał się, że wypełniony on był wyłącznie gąsienicami. -- Obok bezwłosych gatunków, były przeważnie gąsienice przedzimka (Geometra brumata) i sówki (Noctua piniperda); pierwszy występował w okolicy od wielu lat w takich masach, że uszkadzał corocznie szkółki buka i dębu, a niekiedy niszczył je zupełnie.

Byłoby więc rzeczą wskazaną, aby w rewirach, w których występują w wielkiej ilości wyżej wymienione gąsienice, chowano gołębie jako skutecznych tępicieli.

Fraszki.

Na jarmarku.

— Zapewniasz więc pan, że temu koniowi nic nie brakuje.

— Daję panu na to słowo honoru, jest tak zdrów, jak ja.

— A to w takim razie musisz mi pan najpierw przynieść świadectwo lekarskie, że jesteś zdrów.

Z ornitologji.

(Nauczyciel do ucznia).

— Jak się nazywa stworzenie, które gwiżdże, szybko skacze i łazi?

— Konduktor na kolei — panie profesorze!

W szkole.

Nauczyciel: Kim był Kolumb?

Uczeń: Ptakiem.

Nauczyciel: Mylisz się mój chłopcze!

Uczeń: O nie, przecież wyraźnie czytałem o jajku Kolumba.

Z zoologii.

Nauczyciel: Słuchaj Gapski powiedz mi, czem się żywi ryba atramentowa?

Uczeń: Bibułą!

Podsłuchane.

(Na jarmarku).

— Ja panie dobrodzieju nie potrzebuję koniowi zaglądać w zęby... Ja, panie drogi, tylko okiem łypnę, to już wszystko wiem! Powiadam panu dobrodziejowi wszystko!

— Powinszować panu, powinszować! Nie wiedziałem, że pan taki konessor!

— O, ja panie dobrodzieju, nietylko koń-essor, ja także i wół-essor i świń-essor!

— A, powinszować, powinszować...

Nakładem gal. Tow. ochr. zwierząt. — Druk. i lit. Piller-Neumanna.